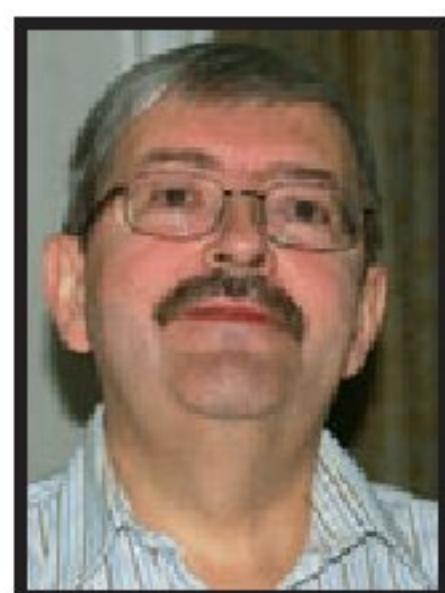




Książki i uczeni

TYGODNIK
ANGORA

Czy wybitny profesor może mieć urozmaicone życie osobiste, a jeśli nawet je ma, to czy wolno mu o nim opowiadać? Sam zetknąłem się z podobnym dylematem – niejednokrotnie i nie zawsze w najprzyjemniejszych okolicznościach.

Jeśli uczony jest fizykiem kwantowym albo genetykiem, jeśli poświęcił życie matematyce albo mikrobiologii, to z dużym prawdopodobieństwem można niestety powiedzieć, że jego droga naukowa zainteresuje nielicznych: kolegów, pasjonatów, doktorantów. No, chyba że ktoś jest geniuszem nie tylko we własnej dziedzinie, lecz także pisze doskonale, zajmując, unikając długich i trudnych wzorów. Ktoś taki jak Werner von Heisenberg czy Stephen Hawking może liczyć nawet na sukces komercyjny w dziedzinie literatury faktu.

Profesor musi ważyć słowa

Trochę inaczej wygląda sytuacja humanistów. Jeszcze kiedy zaczynałem studia, książki autobiograficzne historyków, badaczy literatury czy filozofów należały raczej do rzadkości. Owszem, wyjątek stanowiła biografia Stanisława Pigonia *Z Kambor-ni w świat* – podziwiana zresztą chyba bardziej jako dokument społecznego awansu. Chłopskiemu synowi nie tylko udało się skończyć studia w nieprzyjaznym świecie, lecz także zdobyć tytuł profesorski, a co ważniejsze – niekwestionowaną pozycję jednego z najwybitniejszych znawców Mickiewicza.

Kiedy już zostało się profesorem, trzeba ważyć każde słowo i ostrożnie mierzyć każdy krok. Aktorki, śpiewacy operowi, piłkarze czy filmowcy mogą sobie pozwolić na szczerość, której oczekuje od nich publiczność. Lecz jak tu kierować uszczypliwości pod adresem mniej zdolnych, a bardziej przedsiębiorczych kolegów? Jak opowiadać o niewiernej żonie, której kochankiem okazał się najbliższy przyjaciel z akademickiej katedry?

Wiem, że konserwatywne władze akademickie najchętniej przemilczałyby kłopotliwe skandale, zdrady, afery, oszustwa. Stanowczo lepiej nie dotykać spraw niezbyt przyjemnych, często również mających pewne odniesienia polityczne. W każdym razie jeśli koniecznie chcecie opowiedzieć o wszystkim, to zawsze nadepniecie komuś na odcisk i pomnożycie liczbę swoich wrogów.

Mimo wszystko w ostatnich kilkunastu latach ukazało się kilka monumentalnych autobiografii polskich humanistów – nagrodzonych i wyróżnionych, w jednym przypadku wywołującym nawet lekki posmak skandalu ze względu na *coming out* (w świecie akademików to zdarza się na pewno rzadziej niż wśród celebrytów). Nie porównuję rzecz jasna osiągnięć poszczególnych autorów, lecz wydaje mi się, że niezrównanym kunsztem pisarskim błysnął Konrad W. Tatarowski. W przeszłości – badacz literatury polskiej XX wieku, później polityczny emigrant, a po powrocie do kraju medioznawca, profesor, opiekun magistrantów i doktorantów zajmujących się między innymi sztuką radiową.

Ma mało fotografii

Licząca prawie 500 stron autobiografia ukazała się właśnie w Krakowie, choć autora znacznie więcej łączy z Łodzią, a nawet z Warszawą, nie mówiąc

już o Monachium i Los Angeles. Wydana niebrydtko, choć można było się bardziej postarać. Są fotografie, nawet kolorowe, tyle że powinno być ich co najmniej pięć razy więcej. Na twardą okładkę nie wystarczyło środków, a szkoda, bo można by czytać nieco swobodniej i pożyczać znajomym, nie martwiąc się, czy przeczytany egzemplarz wróci do nas w komplecie.

Wszystko to oczywiście nieważne, bo kiedy nieustannie dowiaduję się o zgonach studentów profesora Tatarowskiego, z których większość w ten czy inny sposób zmarnowała swoje życie, wydaje mi się, że autor jakoś wyśliznął się okrutnemu przeznaczeniu. W wieku 75 lat zdążył postawić kropkę na stronicy swej najważniejszej może książki – wbrew tym wszystkim, którzy uważają, że nie należy się spieszyć, że warto szlifować w nieskończoność prawie gotowe już stronicę.

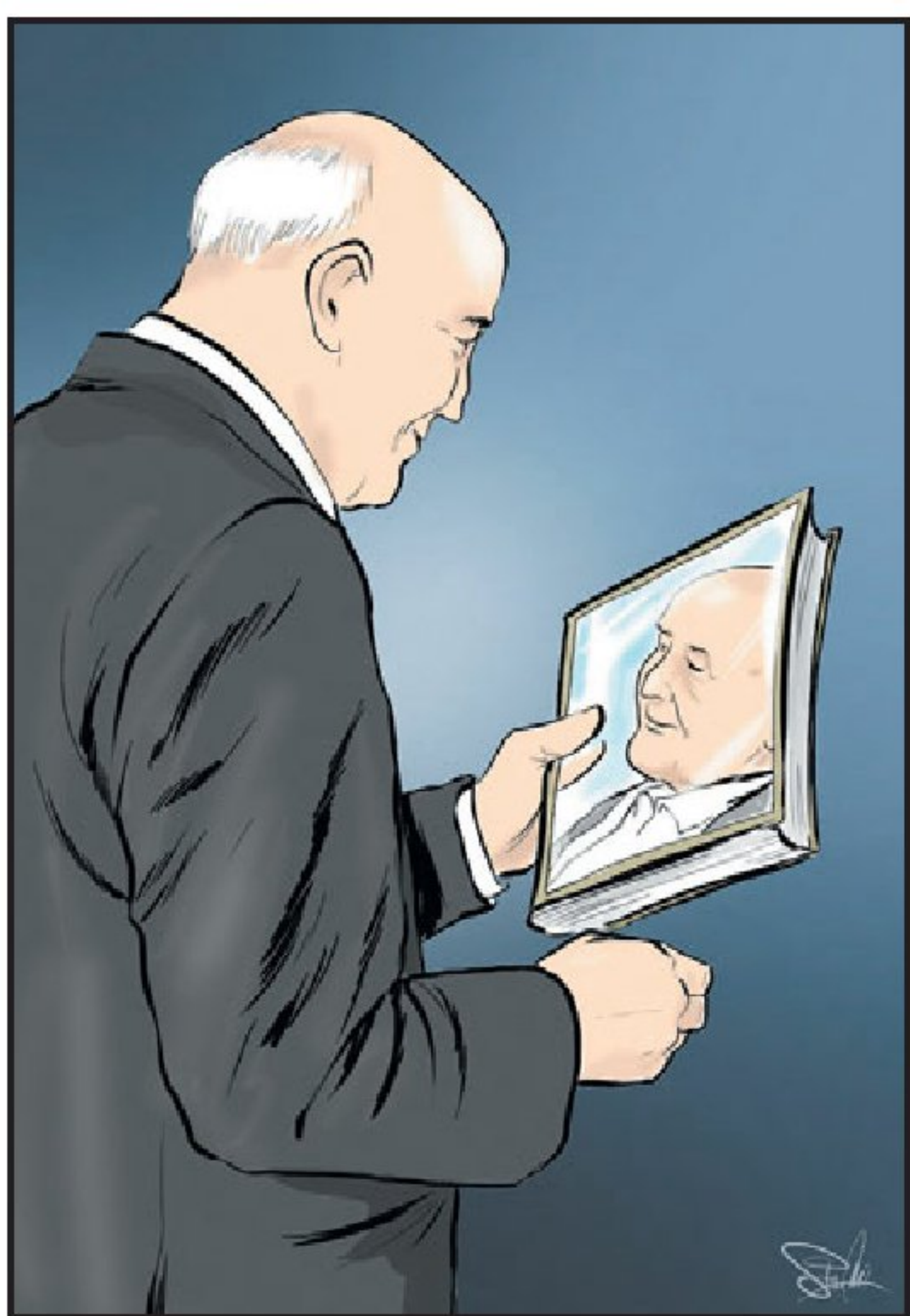
Bieg z przeszkodami. Autoportret w pękającym zwierciadle to konstrukcja bardzo skomplikowana, a jednocześnie – chciałoby się powiedzieć – mistrzowska, daleka od klasycznej autobiografii, pozbawiona dystansu czasowego, często spisywana na gorąco. Trafiły tu zapiski pamiętnikarskie, szkice publicystyczne, dokumenty, a nawet wiersze. Sam nie wiem, jak profesor Tatarowski to poskładał – tak niejednolita kolekcja powinna się rozsypać, znużyć czytelnika, zniechęcić liczbą odwołań historycznych, nazwisk i dat. Nic takiego się nie dzieje.

Pamiętam, jak w Paryżu zachwyciałem się smakiem wybornej sałatki i błagać zacząłem bardzo miłą kucharkę, by mi zaraz zdradziła przepis, bym mógł po powrocie odnosić wyłącznie kulinarne sukcesy. Uroczą i przyjazną paryżanką spojrzała na mnie ze zdziwieniem, a może nawet z ubolewaniem, i rzekła: „Wiesz, przepis na sałatki to każda Francuzka ma «w palcach». No, bo przecież marchewka z Normandii smakuje inaczej, a znów jarzyny z Południa zagarnęły więcej słońca, a oliwa, a kapary”. I tak dalej.

Bieg z przeszkodami pochłania się niczym pyszną francuską sałatkę, w dodatku odbierając raz po raz lekcję historii PRL. Jak nie poznać pewnych szczegółów z życia tego dziwnego państwa, nie zrozumiecie wyborów, przed którymi stawali jego obywatele. Pewnie, że trzeba się było zapisać do partii, by zostać kierownikiem sklepu albo szefową działu, że na uczelni też warto było „należeć”, bo bezpartyjni i katolicy uważani byli na ogół za przegranych facetów. Ale poza tym wszystko (prawie wszystko) wyglądało inaczej niż dziś.

Pół wieku temu i dawniej rolę celebryckich saloonów i czwartej władzy, czyli mediów, spełniał na przykład sport: stadiony, hale, ringi, w mniejszym stopniu boiska piłkarskie. Kiedy mówiło się Rzym, Tokio, Meksyk, to nazwy te kojarzyły się z letnimi igrzyskami olimpijskimi, a nie celem wycieczek turystycznych. Wystarczyło rzucić oszczepem tak daleko jak Janusz Sidło albo dyskiem jak Edmund Piątkowski, ewentualnie biegać równie szybko jak Wiesław Maniak czy Andrzej Badeński, by stać się najprawdziwszym bohaterem narodowym.

Wunderteam – tak nazywano najwspanialszą chyba w dziejach polskiej królowej sportu reprezentację narodową, która mierzyć się mogła nie tylko z Rosjanami czy Niemcami, lecz nawet Amerykanami! Wyobraźcie sobie teraz, że przepustką do owego wunderteamu dysponował już wówczas Konrad Tatarowski! W 1963 roku pozwalano mu trenować z bardzo obiecującym Stanisławem Wagnerem,



Rys. Mirosław Stankiewicz

potem ze sławnym Markiem Józwikiem i paru innymi gwiazdami polskich biegów.

Ale sport to, niestety, dziedzina wymagająca całkowitego poświęcenia. Kto próbuje dzielić swoje życie na rozmaite pasje, żadnej nie chcąc się wyrzekać, wcześniej czy później ponosi klęskę. Jak to było z autorem *Biegu z przeszkodami*? Chciałbym wierzyć, że rzucił sport dla poezji, dla literatury, choćby i dla krytyki literackiej czy kariery akademickiej. A może doszedł do wniosku, że bliższa mu jednak polityka – podobne wybory obserwowały wówczas czujnie rozmaite służby. Ale to oczywiście nieprawda – powód był zupełnie inny, piękny, romantyczny. Jaki? Przeczytajcie sami!

Niepokorny wykładowca

Niepisany, lecz znany doskonale kodeks pracownika naukowego wyższej uczelni przewidywał, że jeśli ktoś chce po Bożemu zarabiać na chlebek z masłem (o szynkę było naprawdę trudno, łatwiej już o pasztetową i kaszankę konsumowaną z zapałem choćby przez jedną z największych reprezentantek polskiej humanistyki), to nie powinien angażować się w żadne ryzykowne przedsięwzięcia. O ile pamiętam, Tatarowski podobnych reguł nie uznawał. Znalazł się na łódzkiej uczelni, lecz wcale nie udawał, że nigdy nie słyszał o Giedroyciu i jego periodyku, kolportował najpierw wydawnictwa emigracyjne, potem drugoobiegową bibułę.

Czy ucierpiała na tym kariera naukowa, studia nad neoklasycyzmem i liryką Zbigniewa Herberta? Pewnie tak, ale gdyby nie obecność niepokornego wykładowcy, na pewno jego studenci umieliby mniej i w końcu – zostali może innymi ludźmi?

Przyszedł rok 1980 i 1981, rozprawa z demokratyczną opozycją, początek emigracji. W Ameryce trudno było odnieść sukces, a zwłaszcza utrzymać rodzinę, o ile nie było się chemikiem czy biologiem pracującym dla przemysłu farmaceutycznego. Najbogatszy kraj na świecie przyjmował emigrantów politycznych życzliwie, ale – co tu dużo mówić – nie czekał na polonistów czy nawet historyków. Kto chciał się jakoś urządzić, nie klepał biedy, ale kandydatowi na uczonego to na pewno nie wystarczało. Chciał zaznaczyć swój ślad na Ziemi, tu czy tam, w każdym razie – usprawiedliwić swe istnienie. Jak

tu żyć sprawami polskimi, gdy w kolejce do wydawnictw, galerii, filharmonii czy teatrów czekają tysiące przybyszów zza oceanu?

Tatarowski okazał się człowiekiem ambitnym: sprawdził się doskonale jako dziennikarz Radia Wolna Europa. Słuchało się go z przyjemnością, choć ciarki chodziły po grzbiecie na myśl, że dla szefa Polskiej Sekcji szykowano już w kraju szubienicę. Na szczęście wypadki potoczyły się całkiem pomyślnie, a z Monachium płynęły nie tylko najnowsze wiadomości, na które czekała cała Polska. W wolnych chwilach emigrant z Łodzi zaczął porządkować radiowe archiwum, w którym znalazł naprawdę nieprzebrane skarby. Bo oczywiście książki Kazimierza Wierzyńskiego, Józefa Mackiewicza czy Tadeusza Nowakowskiego są dziś powszechnie dostępne. No, ale ich głosy trzeba było wyszperać – niemal gotowe audiobooki, skatalogowane i opisane, w dużej mierze dzięki wysiłkom dziennikarza, który zawsze miał duszę poety.

Jako medioznawca Konrad Tatarowski zaczął przyglądać się wielkim mistrzom warsztatu radiowego. Bo chyba taką samą rolę jak Jerzy Giedroyc dla paryskiej „Kultury” Jan Nowak-Jeziorański odegrał w stosunku do Wolnej Europy, której był dyrektorem przez prawie ćwierć wieku. Oczywiście legendarna postać „Kuriera z Warszawy” zasługiwała na film sensacyjny, może nawet przygodowy (bo psychologii na ekranie widzowie już nie trawiają). Jednak jak ktoś lubi biegać z przeszkodami, to zawsze znajdzie sobie właściwą ścieżkę. *Aksjologia i polityka w pisarstwie i działalności Jana Nowaka-Jeziorańskiego* to dzieło potężne, jedno z najważniejszych w naszej nauce o mediach, która niestety bywa często bardzo powierzchowna. Tatarowskiemu chyba się udało. Jedni po prostu go lubili, inni – czy ja wiem? Może się bali? Doczekał się zasłużonych tytułów naukowych i starannie opracowanych publikacji, nadciągnęli magistranci i doktoranci. Powiem niedyskretnie, że lubiany był zawsze, a płeć piękna poszłaby za nim w ogień niezależnie od poglądów.

Paszport w jedną stronę

– Nie będę streszczał całego dorobku naukowego autora, lecz powiem coś od siebie. Konrad Tatarowski mógł chyba osiągnąć więcej (sławę, pieniądze, stanowisko), gdyby pozostał w jakimś innym miejscu, gdzie zawsze lepiej płacono i wyżej ceniono przywiązanie do rodzinnego domu. A tu – łodzianin, słowo daję, człowiek, któremu zazdrozczono przed laty, że dostał paszport w jedną stronę! Możliwości w Łodzi zawsze były skromne, skromniejsze niż gdzie indziej, tak mi się zdaje. Działali tu przecież Zdzisław Skwarczyński i Bolesław Lewicki, no i Stefania Skwarczyńska, o której nawet słyszano w dalekiej Rosji. Nikt z nich (tak mi się zdaje) nie popełnił dzieła autobiograficznego. Moja złośliwa znajoma powiada, że ze wstydu albo „niezrozumiałego nadmiaru dyskrecji”.

– Myście sobie, co chcecie.

– Ja w każdym razie czytałem *Bieg z przeszkodami* z zapartym tchem – tak się złożyło, że nie mam już kota, bo musiałbym robić przerwy w czytaniu, by nakarmić głodomora. Skończyłem, zamknąłem tę wspaniałą książkę i zrobiło mi się smutno, że dalszego ciągu chyba nie będzie.

– A może jednak? Może jeszcze coś zostało do napisania?

JAN TOMKOWSKI

Autor jest profesorem w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, historykiem literatury, prozaikiem i eseistą.